Nr. 17. Poznań, dnia 19 sierpnia 1917. Rok IX.

GAZETA DLA KOBIET

Dwutygodnik poświęcony sprawom kobiet pracujących!

Organ »Związku Stowarzyszeń Katolickich Kobiet Pracujących« z siedzibą w Poznaniu.

Wychodzi co dwa tygodnie na niedzielę. Zamówienia przysyłać należy do Ekspedycyi: Poznań — św. Marcin 69. — Abonament na poczcie 50 fen. kwartalnie. — Adres Redakcyi: Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 2082.

REDAKTOR: Ks. Stanisław Grzęda.

WIADOMOŚCI ZWIĄZKOWE.

W początkach t. m. odbyła się w Biurze Związku rewizya kasy pośmiertnej banku „Westy". Na ogół rewizya wypadła dość dobrze. Zaznaczamy z przyjemnością, że najliczniejsze stowarzyszenie „Jedność" w Bydgoszczy, mimo największej ilości kart i znaczków, miało kasę pośmiertną w wzorowym porządku, za co należy się na tem miejscu podziękowanie skarbniczce bydgoskiego stowarzyszenia p. Fr. Jędrzejewskiej.

Ta sama pochwała należy się skarbniczce stowarzyszenia kob. prac. w handlu i konfekcyi w Gnieźnie, p. H. Promińskiej.

Przy tej sposobności prosimy wszystkie p. skarbniczki kasy pośmiertnej, aby dokładnie odpisywały wszystkie k a r t y i z n a c z k i, odsyłane do Biura Związku, czy to c z ł o n k ó w w y s t ę p u j ą c y c h czy u m a r ł y c h. Przy codopiero dokonanej rewizyi przekonaliśmy się bowiem, że koniecznem jest to odpisywanie, inaczej rachunki nie mogą się zgadzać, a sprawiają dużo pracy przy rewizyi.

Sekretaryat generalny.

Praca społeczna Kobiet.

Kobieta polska dość późno występuje w pracy publicznej. Długo bardzo stała z daleka od spraw ogółu — i tak samo w czasach dawnych jak w bliższych nam przy pracy dla narodu, dla ogółu, kobieta pojawia się rzadko.

Pamiętamy dobrze imiona Wandy, Jadwigi, Chrzanowskiej, bohaterek polskich; historya literatury zapisała imię Elżbiety Drużbackiej, pierwszej kobiety-pisarki. Ale są to wyjątki. Kobieta późno zaczęła się uczyć innych prócz spraw gospodarskich, a zajmowała się domem, dziećmi, gospodarstwem.

Są to wprawdzie jej istotne zadania i z pewnością nikt temu nie zaprzeczy ani od ich spełniania odwodzić nie będzie. Ale zmieniają się czasy i przychodzą inne warunki, ludzie coraz więcej się uczą, wymagają, zarobkują inaczej, rozchodzą się po świecie za chlebem, zdobycie tego chleba staje się utrudnione, życie wogóle nie tak proste jak dawniej. I dlatego też kobiety dziś już nie stoją na uboczu prac wszelkich, lecz wciągnięte w wir walki przez inne, cięższe warunki, muszą — chcąc czy nie chcąc — stawać w szeregu, do pracy, do pomocy. Tak jest na całym świecie, a tak być powinno szczególniej u nas. Czy wolno kobiecie zapominać, że jest nietylko córką, żoną, gospodynią, matką — ale Polką przedewszystkiem?

Mamy zatem wiele do zdziałania, do nauczenia się, do obronienia.

Ale w pracy tej dla ogółu szukać trzeba kobiecie siły i otuchy, szukać wśród swoich. A gdzie jej szukać? W T o w a r z y s t w a c h. Wszystko, co kobiecie pomódz może do spełnienia obowiązków, do zwalczania trudności — to jej dać musi. T o w a r z y s t w o k o b i e t.

Ażeby znów Towarzystwo mogło należycie spełnić swoje zadanie, musi mieć j a s n y p l a n, t. j. wiedzieć czego chce; musi mieć członków gorliwych, zdolnych ponieść dla Towarzystwa trud niejeden. Bo nie wolno być członkiem tylko z imienia; trzeba się starać o rozwój Towarzystwa, o to, by ono jak najwięcej mogło zdziałać, i każdy winien dorzucić cegiełkę do tego gmachu, który się nazywa lepszą przyszłością.

A jak Towarzystwo dla tej przyszłości pracować może? Najpierw przez o ś w i a t ę. Niech z odczytów i wykładów uczą się członkowie jak wychowywać dzieci, jak szanować swą mowę, jak być gospodarnym i oszczędnym. Niech członkowie poznają dzieje swego narodu, historyę swego bogatego piśmiennictwa i pieśń polską.

Pytacie się: jakie korzyści mieć będę z należenia do Towarzystwa? A ja wam powiadam: że tysiąc ich jest, ale oddam wszystkie za jedną: za to, że pracując w Towarzystwie, żyjąc duchem Towarzystwa, coraz głębiej utwierdzam się w wierze mocnej i pewności lepszej doli.

Ażeby jednak Towarzystwo mogło działać z pożytkiem, muszą być członkowie; skoro nie przyjdą na zebranie, na wykład, to Towarzystwo upadnie. A ono ma istnieć, żeby świadczyło o tem, że jesteśmy. Będziemy chodzić na zebrania licznie, chętnie, regularnie.

Z zebrań tedy mamy wynieść korzyści: duchowe, umysłowe i materyalne.

Duchowe, — gdy umocnimy się w wierze i narodowości; umysłowe — gdy się czegoś nauczymy; materyalne — gdy Towarzystwo nam pomoże po bratersku, po siostrzanemu. Ale do tego przyczynić musimy się sami: musimy popracować nad sobą, np. nauczyć się wiersza i wypowiedzieć go dobrze

po polsku; musimy zapytać się, poradzić, dowiedzieć i samej wypowiedzieć jaki krótki odczyt, czy rzucić jaką myśl nową, czy opowiedzieć o przeczytanej książce. — Musimy regularnie płacić składki, bo pieniądz to także jest siła.

Należenie do Towarzystwa nakłada wprawdzie pewne obowiązki, ale daje tyle radości wewnętrznej i zadowolenia, że się je spełnia najchętniej, byle pomódz, pomnożyć, rozwinąć, byle się wszystkie Polki poczuły zrzeszone, zbratane, naprawdę dziećmi jednej matki.

Ks. T. K.

Nowa znajomość.

Poznały się przy zawodowej swej pracy i od razu przylgnęły jakoś do siebie, a chociaż Jadzia odznacza się usposobieniem poważnem, polubiła serdecznie Kazię — „trzepaka", jak ona sama siebie określa. Jednak i ów „trzepak" ma chwile smutku i przygnębienia, a wówczas we łzach się rozpływa, na co znów Jadzia bez bólu serca patrzeć nie może. Poznały się przed miesiącem, a już dwa razy widziała Kazię, zalewającą się łzami. Oba razy zdarzyło się to w sobotę wieczorem, na myśl, że oto jutro niedziela, dzień odpoczynku, wytknięcia na łonie rodziny, a ona Kazia, jej nie ma i sama jest jak palec, jak kołek.

Więc przyjdź do nas, zaproponowała jej Jadzia, zapoznam cię z mamą i siostrami i możesz odtąd stale dni świąteczne spędzać z nami, nie będziesz się czuła tak opuszczoną.

Rzuciła się Kazia Jadzi na szyję i obsypała ją całym potokiem słów dziękczynnych i pocałunków. Ale wiesz co, szeptała w przerwie, nie ośmielę się sama ni stąd ni z owąd wtargnąć do was, to już ty chyba wstąp po mnie.

I na to Jadzia przystała, pytając o adres.

Nadeszła oto popołudniowa niedzielna godzina i Jadzia wchodzi do pokoiku Kazi. Przyzwyczajona do czystej schludności i porządku w domu matki, na samym wstępie nie mile zraził panujący wokoło brud i nieład. Aż przystanęła w progu, nie pewna, czy się czasem nie pomyliła, dopiero głos Kazi wyrwał ją z odrętwienia .

Usłyszawszy radośnie wymówione swe imię podniosła oczy i jakiż dziwny uderzył je kontrast. Otóż na tle całego nieładu, rupieci i fatałaszków walających się do koła, ukazała jej się strojna, elegancko ubrana Kazia, wcale nie odpowiadająca, niedostosowana do wyglądu zaniedbanego pokoiku. Bluzka biała jedwabna, aż zbyt mocno wycięta, spódniczka krótka, szeroka, z czarnej tafty, z pod niej wysuwają się nogi w ażurowych pończoszkach i aksamitnych pantofelkach.

Zdziwiony wzrok Jadzi od stóp przyjaciółki prześunął się aż ku głowie, na fryzurze której wznosi się dziwacznie powykręcany kapelusz z piórami, a w ręku — srebrna torebka.

Skromniutko ubrana Jadzia, patrzy na strój pełna podziwu i głową kręci. Kazia bierze to za zachwyt i z radością okręca się na pięcie.

— Ładna jestem, — co?

MARYA BOGUSŁAWSKA.

Stara panna.

(Dokończenie.)

Pan Rybowski był to człowiek starszy, który przed rokiem wrócił z Syberyi po długim pobycie na wygnaniu, cichy, zamknięty w sobie, czasem tylko zdobywający się na objawienie swej radości z powodu, że jest znowu w ukochanym kraju i uznania cnót panny Luni.

A ona nie spostrzegła tego wcale; nie domyślała się dlaczego wszystkie lekarstwa, jakich potrzebowała pani Frodymowa, on sam przynosił i składał do rąk „cioteczki". Wierzyła, że jeżeli mając dwa razy tygodniowo wolne popołudnie, spędzał je na spacerach z nią i pannami Chudeckiemi; to dlatego, że miał na myśli swoje dwie córki zmarłe w niemowlęctwie, które byłyby obecnie właśnie w tym wieku. Bawiło i zaciekawiało mnie obserwowanie tej cichej, nieświadomej siebie idylli dwóch starszych, a dziecinnie czystych i niewinnych istot.

To też ucieszyłem się niezmiernie, gdy raz wybrawszy się po opadłe jabłka pod renetę spostrzegłem w oddali, w altance obrośniętej winem, pannę Lunię, zmieszaną, zaczerwienioną, zalaną łzami, a obok niej p. Rybowskiego całującego jej ręce i dowodzącego czegoś z wielkiem przejęciem.

— Niech ci Pan Bóg da zdrowie zacny farmaceuto za to, żeś się poznał na tej perle rzuconej w muł życiowego stawu, pomyślałem sobie, a nie chcąc być spostrzeżonym, umknąłem chyłkiem do domu, umieściwszy się jednak przy takiem oknie, z którego mogłem widzieć wracającą „parkę".

Czekałem z pół godziny. Wreszcie zarysowały mi się ich sylwetki w głębi alei. Obserwowałem ich z ciekawością w miarę jak się zbliżali. Tyle szczęścia malowało się na tych przez czas i przejścia życiowe zwiędłych twarzach, że ja, młody, uczułem coś nakształt zazdrości. Na kilkanaście kroków przed domem, on pocałował z namaszczeniem jej rękę, ona dygnęła z przesadą, podniosła jednak przytem szczerze wdzięczne i serdeczne spojrzenie, które odmłodziło i upiększyło jej oblicze. On poszedł na front domu do apteki, ona zawahała się chwilę, namyśliła, potem wyjęła kieszonkowe lusterko poprawiła włosy, otarła oczy i niepewnym krokiem weszła do przyległego pokoju jadalnego.

— Gdzie ty tak siedzisz, Lunio? odezwał się ostry głos p. Frodymowej. Józek już od kwadransu czeka na podwieczorek, dzieciaki głodne, a nic nie przygotowane.

— Lunia pewnie tymczasem wiersze deklamowała pod jesionem, zażartował pan Frodym.

— Obserwowała grę chmur z altanki, w podobnym tonie jak ojciec, odezwał się czternastoletni Stefek.

— Pewnie, zaśmiała się młodsza od niego o dwa lata Terenia, bo widziałam ciocię w altance z p. Rybowskim.

— Wiesz Lunia, że to nie ma sensu, że ty tak często z tym Rybowskim...

— Tak, co prawda to prawda, Ziuta ma racyę, jeszcze zaczną cię obmawiać, że zawracasz głowę Rybowskiemu, panna w twoim wieku powinna być bardzo ostrożna, bo ogromnie łatwo podać się na języki...

— Ośmieszysz się....

— Kiedy właśnie....

Panna Lunia zaczęła mówić, ale tchu jej widocznie zabrakło.

— Cóżeś ty taka wzruszona?

— Bo widzicie, pan Rybowski, pan Rybowski...

— Co zakochał się w tobie!... Stara romantyczka!...

— Nie... nie to... tylko oświadczył się.

Usłyszałem upadek książki na podłogę, potem pisk duetu dziecięcego, potem niski, nacechowany grozą okrzyk p. Józefiny.

— Czyś ty oszalała!

— Ja sama jestem zdumiona, tłomaczyła się ze łzami ciocia Lunia. Mnie to tak zaskoczyło... Ale pan Ry-

— Nie! — Brzmi szczerą odpowiedź. — Nie, Kaziu, nie podobasz mi się i tak bym cię do domu mej matki wprowadzić nie mogła, gdyż strój twój tak nieodpowiedni dla wieku twego i stanu, od razu źleby matkę mą względem ciebie usposobił.

Kazia tak ręce załamała, że aż jej w stawach zatrzeszczały.

— Czemu? Dlaczego? Przecież to dziś niedziela, kiedyż więc mam się ubrać, jeśli nie w dniu świątecznym? Przecież młoda jestem i mam prawo, skoro zarobię, chcieć się komu spodobać, kończy strapiona i łzy, jak na zawołanie, całą falą z ócz płyną, na śliczną bluzkę.

Jadzi już żal trochę ostrego tonu. Własną chusteczką łzy ociera Kazi i mówi kojąco.

— No ,widzisz, różni różnie na tę sprawę się zapatrują. Moja mama życie poważniej traktuje, więc nie chciałabym, aby się do ciebie zraziła.

— Więc na co pracować, skoro niczego za to użyć nie można? — próbuje bronić się Kazia.

— O przeciwnie i ja używam różnych przyjemności, tylko odmiennych, — przerywa Jadzia. — Najprzód stara się matka, o ile możności odżywiać nas jak najlepiej, by nam sił do pracy nie zbrakło, potem wyjeżdżamy czasami na wycieczki, kupuję niekiedy dobre książki, odłożonym groszem dzielę się z uboższymi, a co miesiąc stale cośkolwiek odkładam na książeczkę, na wyprawę, — kończy z rumieńcem Jadzia.

— A ja nic nie mam, — woła z rozpaczą Kazia — i wiesz, przyznam ci się w tajemnicy, że często głodna bywam, jem byle co, aby tylko na strój starczyło, bo raz słyszałam przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą!"

— Tak, tak, — „wszystko na grzbiecie, a co w brzuchu, nie wiecie!" — śmieje się Jadzia.

— No, więc jakże, Jadziu, idziemy? — pyta Kazia.

— Tak, jak jesteś, nie; chyba, że się przebierzesz.

Z ciężkiem westchnieniem Kazia zciąga ze siebie kosztowne gałganki. Przy pomocy Jadzi, która w całym stosie ubrań wynalazła najodpowiedniejszą sukienkę, w krótkiej chwili z przesadzonej elegantki przemieniła się w skromnie, lecz do twarzy ubraną młodą panienkę.

— Teraz mi się podobasz, — powiada Jadzia, — biorąc Kazię pod rękę i wychodzą razem już znowu w zupełnej zgodzie i zadowoleniu. P. W.

Z legend Wielkopolskich.

Skarby zakonnika.

Szedł biedny zakonnik i zbierał ofiary.

Klasztor był ubogi, zakonnikom brakło chleba, więc wysłali braciszka, by szedł między ludzi i prosił o wsparcie.

Tam dali trochę kaszy, tu trochę grochu, czasem ktoś i grosz ofiarował. Zakonnik za każdy dar dziękował, mówiąc: Bóg nagrodzi! nie mnie, ale braciom dajecie.

---

bowski dowodzi, że mnie poko...., że przywiązał się do mnie... Że nam razem... On pragnie własnego domu rodzinnego... Że ja mu...

— Ha, kiedy tak! odezwał się pierwszy oprzytomniały pan Frodym to nie pozostaje jak serdecznie ci powinszować. Rybowski to złoty człowiek i stanowisko ma dobre, podobno coś uciułanego grosza. Za lat parę kupi aptekę!...

— Nie zawracaj stary głowy!... Że ona zgłupiała, nic dziwnego, stara panna zawsze czuła na byle słodkie słówko, ale przecież ty powinieneś mieć rozum. Gdzie jej w tym wieku iść za mąż, mieć dzieci...

— Nie byłaś młodsza od niej, jak Dzidzia przyszła na świat.

— Ale to było moje szóste!

— Ot różenki strugamy a wróble na dachu. Co się kłopoczemy tem co będzie, a może nie będzie. Tymczasem ja powiadam: bene! bravo!

— Dobrze ci przyklaskiwać! Ty przez to nic nie tracisz, Rybowski jak był tak zostanie w aptece. Ale ja co zrobię przy mojem słabem zdrowiu jak Lunia pójdzie za mąż. Gdzie ja mogę zająć się tak wielkim domem?

— Przecież ja tak licho spełniałam moje zadanie, nie bez ironii odezwała się ciocia Lunia.

— No, bywałaś roztargniona, w obłokach... romantyczka... ale takiej życzliwości, takiego serca, no wiesz: gdzie, co... Et Lunieczka, ja myślę, że ty zastanowisz się, że małżeństwo w twoim wieku to już nie dla ciebie i nie zrobisz tego głupstwa, a nam tej krzywdy. Przecież dzieci cię tak kochają, ty im jak drugą matka, one cię tak proszą, żebyś nie robiła tego głupstwa.

— Przeciwnie, mamusiu, odezwał się starszy mój uczeń, stateczny, poważny Janek, ja tak samo jak ojciec powiadam, że to bardzo odpowiednie dla cioci małżeństwo.

— Będzie wesele! piszczała Terenia, mamusia sprawi mi nową sukienkę.

— Ja i tak codzień u cioci będę, jak założy swój dom, a pana Rybowskiego bardzo lubię, wołał Stefek. Ja już od dziś zacznę mu mówić wujku. Pójdę, powiem to panu Wacławowi.

Za chwilę siedział mi na kolanach jak mały dzieciak.

— Panie „korek", mój złoty panie korek, wie pan co, ciocia Lunia za mąż idzie. Pan Rybowski zakochał się w niej po same dziurki w nosie i koniecznie, na gwałt chce się żenić. A ja bardzo lubię, ja już kocham pana Rybowskiego, on był na Syberyi, on cierpiał za ojczyznę. A ciocia Lunia to taka dobra; zawsze wszystko dla wszystkich, a nic dla siebie. Janek to już parę razy mówił, że rodzice i ciotki wyzyskują dobroć cioci Luni. Wie pan co, pójdziemy zakomunikować tę wiadomość ciotkom. Toż będą baby dęba stawać!

Jakoż ku wieczorowi poszliśmy z wizytami. Pani Baczykowskiej musiał Stefek trzy razy rzecz powtórzyć, zanim ją zrozumiała i uwierzyła. Potem i ona tak jak pani Frodymowa uderzyła w lament.

— Cóż to za egoistka i niewdzięczna! Jakto, tyle lat pamiętaliśmy o niej, a ta nas pozostawi teraz choćby w największych kłopotach. Któż będzie pomagał Anielce i Kasi w naukach? Kto z niemi na spacer pójdzie? Przecież ja codzień po mieście włóczyć się nie będę, żeby te moje jedyne dwa kostiumy, kapelusz tak dać opatrzeć ludziom, żeby zdaleka wiedzieli wszyscy, że to Rączykowska idzie. A nieszczęsna godzina! Miałam tego lata jechać do Karlsbadu, liczyłam, że mi się Lunia tymczasem domem i mężem zajmie, spodziewałam się, że mi przedtem suknie poprzerabia i poreperuje wszystko, a tu masz babo kubrak, waryatce zachciało się męża!...

Stefek, który zazwyczaj ciotkę kochał, wobec określenia: waryatka, wybuchnął gniewem:

— A czemu to ciocia Lunia nie ma mieć męża i domu tak jak wszystkie jej siostry? Dość się zasłużyła i nawycierała kątów. Niech teraz będzie samą panią i niech mąż o nią dba, tak jak ona zawsze dbała o innych.

Szedł zakonnik od wsi do wsi, od chaty do chaty. Ludzie byli litościwi i prawie nigdzie nie odmówiono datku dla zakonników.

Więc już wracał zakonnik do klasztoru. A wracał powoli, bo ciężyły mu wory przez plecy przewieszone. Pełne były ofiarowanych darów, pochylił się pod ich ciężarem zakonnik i powoli przez pola wracał.

Aż tu pędzą Szwedzi.

W zbroi lśniącej, na tęgich koniach, pędzą obładowani tem, co zabrali biednym ludziom.

— Hej!... idzie zakonnik obciążony skarbami, zabierzmy mu..., woła Szwed jeden.

— Zabijemy go jak komara, bezbronny jest, żadnego nie ma miecza ani topora. Co uzbierał to nasze.

I zabili zakonnika ubogiego, który dla braci niósł po garstce darowanej kaszy, po kwarcie grochu i nieco groszy złożonych w ofierze.

Pod cięciem ostrych mieczów szwedzkich padł zakonnik na zieloną trawę. — Rzucili się, by zdjąć wory i skarby dzielić.

Lecz o dziwo, coś się stało... Ociężały tak wory z kaszą i grochem, iż ich żadną siłą nie poruszy.

— Czary! mruczą Szwedzi źli i przekleństwa sypią gniewne. A czemwięcej przekleństwa rzucają, tem cięższe się stają wory ubogiego, zabitego zakonnika.

— Nikt tego nie ruszy! — woła jeden Szwed i blady spogląda na trupa.

— Porąbać mnicha na kawałki, spadną z niego wory, skarby będą nasze — mówi inny.

— Ani się waż! — ostro rozkazuje pierwszy Szwed. Lęk mnie zbiera, gdy patrzę na tę twarz spokojną, na ten habit ubogi. Za co my go zabili?

Urągają Szwedzi z lęku tego, rwą się, by skarby zdjąć i dzielić się, lecz daremne próby. Ciężkie są wory, nikt ich nie ruszy.

Schyla się Szwed blady... klęka przy zakonniku i poczyna się modlić z żalem i skruchą.

Śmieją się z niego koledzy, urągają... a wreszcie z gniewem pojechali dalej na rabunek.

Szwed wykopał grób, zakonnika pogrzebał i z żalem przekonał się, iż dla kaszy i grochu życie mu odebrał.

Z zabranych w Polsce skarbów zbudował w tem miejscu kaplicę i jako pustelnik zamieszkał, pokutując za winy.

Z czasem pobudowali tam ludzie chaty, powstała wieś,którą nazwano O c i ą ż, iż tam ociężały ubogie skarby zakonnika, który dla braci o pożywienie żebrał.

Wieś ta w Poznańskiem do dziś istnieje, a mówią ludziska, iż gdyby przez tę wieś szedł kto z grzechem ciężkim na sumieniu, to tak ociężeje serce smutkiem, iż nie dojdzie daleko.

Tak było za górami, za lasami, po naszej ziemi opowiadają z dawnych lat snute wspomnienia i gawędy. Każdy prawie las szepce o czemś dziwnem, każda prawie wieś osnuta jest tęczową nicią przestróg i nauk przeszłości.

Jadwiga z Łobzowa.

(Niewiasta Katol. — Kraków.

— Jak ty śmiesz, smarkaczu, tak głos zabierać, wykrzyknęła p. Marya.

— Bo aż przykro słuchać, co ciocia wygaduje. Chodźmy panie Wacławie do cioci Teci.

Panią Pająkową zastaliśmy przy partyi winta, z mężem, księdzem wikarym i profesorem emerytem, p. Wichrzyckim. W wielkiem skupieniu, przez binokle w czarnej oprawie wpatrywała się w trzymane w ręku kilka kart, jakby miały one stanowić o losach najdroższej istoty. Stefek szurgnął nogami grającym i sunął za krzesło ciotki.

— Ciociu, ciocia Lunia idzie za mąż za pana Rybowskiego, oświadczył się już.

Pani Pająkowa opuściła karty na stół, odwróciła twarz nacechowaną zdumieniem na chłopca i wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Bez atu!?...

— Bez żartów?! poprawiła się po chwili.

— Cóż pani zrobiła, odkryła pani wszystkie karty, wołał Wichrzycki!... Tam do dyabła, a ja mogłem właśnie mieć wielkiego szlema!

Ale pani Pająkowa pierwszy raz przy kartach zaprzątnęła się czemś więcej niż one.

— Panie Wacławie, co ten smyk opowiada.

— Zupełną prawdę, łaskawa pani. Dziś przy podwieczorku p. Rybowski mówił o p. Helenie „moja narzeczona“ i prosił ją, aby nie robiąc wielkich przygotowań, zechciała za sześć tygodni stanąć przed ołtarzem.

— No, doprawdy, można tylko powinszować Luni i cieszyć się z tego, bo to zacny człowiek ten Rybowski, ale dla mnie osobiście zrobi się tem wielka krzywda. Kto będzie wieczory z dziećmi spędzać? Psuła mi wprawdzie dzieciaka co niemiara, ale bądź co bądź mogłam być pewna, że im włos z głowy nie spadnie, a tak...

— Do licha ciężkiego trzeba będzie wziąć bonę, a co to kosztuje w te czasy.

— Ale grymasów, ile wymagań ma każda.

— Ja znam jedną bardzo uczciwą, starszą już osobę, wtrącił ksiądz wikary, która, sądzę, chętnie przyjęłaby obowiązek w domu państwa.

— Ale Luni nikt nam nie zastąpi.

— To pewne!

. . . .

Państwo Frodymowie wzięli na ambicyę i wyprawili cioci Luni wspaniałe weselisko. Przy uczcie weselnej, niemłoda panna młoda bardzo ładnie wyglądająca w skromnej białej sukni, nasłuchała się tylu komplementów, tylu wyrazów uznania i zapewnień, że pozostanie niezastąpioną, że aż prawdomówny pan Rybowski odezwał się z przekąsem:

— Że też panie siostry oceniły Lunię dopiero teraz, gdy ją zabieram. Przez tyle lat była niedocenianą, nasłuchała się przycinków...

— Ah, Stasiu, nie wspominaj, zawołała ciocia Lunia. Oni mnie wszyscy kochali. A że czasem przypięli mi jaką łatkę, to dlatego, że byłam śmieszna, wstydziłam się ogromnie stanowiska starej panny... Dziś mogę śmiało wymówić to brzydkie słowo, gdy zostałam młodą mężatką, dodała ze śmiechem. A dopiero od chwili narzeczeństwa, gdy siostry tak...

Zawahała się; nie wiedziała jak najdelikatniej określić niesprawiedliwe postępowanie sióstr. Pominęła przeto i mówiła dalej:

— Dopiero teraz przekonałam się, że stara panna może być bardzo pożyteczną.

— Nieocenioną, niezastąpioną, zawołał p. Lisek, ale gdy jest taką jak ciocia Lunia, co się znajdzie zawsze tam, gdzie inna kobieta, mająca dom i dzieci nie może podołać obowiązkom.

— I która tak kocha nie swoje dzieci, jak ciocia Lunia swoich siostrzeńców kocha, dodała wzruszona Hanka Pająkówna.

Mróz, słońce i wiatr.

(Bajka białoruska.)

Pewien podróżny spotkał razu pewnego na swej drodze mróz, słońce i wiatr.

— Dzień dobry! — zawołał, zwracając się w ich stronę.

— Kogo z nas on pozdrowił? — pytali się wzajemnie trzej towarzysze.

— Mnie, — rzekło słońce, — gdyż obawia się, abym go zanadto nie paliło.

— Człowiek ten mnie pozdrowił, — zaprzeczył słońcu mróz, — ponieważ mnie się on więcej obawia niż ciebie.

— Mylicie się oboje, — rzekł im ze spokojem wiatr, — pozdrowienie było zwrócone do mnie.

I poczęli rozprawiać i sprzeczać się, a żaden nie chciał drugiemu przyznać słuszności. Postanowili w końcu dogonić człowieka i zapytać kogo pozdrowił. Tak też uczynili. Pobiegli prędko za podróżnym, a dogoniwszy, zapytali w spornej sprawie.

— Wiatr pozdrowiłem — rzekł im człowiek.

— No i cóż, czy nie miałem słuszności? — zawołał wiatr z tryumfem.

— To mnie pominąłeś — zawołało słońce z gniewem — poczekaj, pożałujesz jeszcze tego; będę cię piekło i dokuczało, aż mnie popamiętasz.

— Nie obawiaj się niczego — zwrócił się wiatr do człowieka, — gdy słońce będzie chciało cię palić, ja będę dmuchał i ochładzał cię.

— W takim razie ja postaram się o to, aby cię dobrze ziębić — zawołał mróz.

— I o to się nie obawiaj — odrzekł wiatr — jeżeliby cię mróz chciał ziębić, ja nie będę dał, a wtenczas on nie będzie ci mógł dokuczyć, gdyż bezemnie nie może mróz ziębić, ani w mojem towarzystwie słońce palić.

PANI!

(Monolog).

(Osoba otyła, uśmiechnięta, w niebieskim szerokim fartuchu, ze ściereczką i kluczami w ręku.)

Witam Szanownych Państwa, witam! witam! Powiadali mi, że tu tak dużo narodu, a przepraszam, chcę mówić państwa, bo dziś każdy pan. Każdy, każdy. Dawniej, za mojej babci nieboszczycy, byle łapserdak nosa nie zadzierał, oj nie! Kłaniali się, a czapkowali, i przed poważną osobą z rękami w kieszeni paradować nie śmieli. Oj nie. A dziś? (opiera ręce na biodrach). Dziś? Każdy pan, każdy wielmożną osobą. Wielką personą. Tak moi ludzie kochani, ale ja, choć tam starość mnie jeszcze nie goni, choć niejednej dzierlatce w sprawności, a rozumie dorównam, albo i nie przymierzając w kozi róg zapędzę — ja jednakże starego obyczaju pilnuję, i dawne prawo we wielkim szacunku mam (powoli z gestami). Pani, to jest taka jak ja, a pan to tak, jak mój tatuś nieboszczyk. Boże świeć nad jego duszą! Miał kamienicę (pokazuje) piętrową. Nie czasem jaką obdartą, odrapaną, jak ta sąsiadki Ildefonsowej. O nie, nie! Albo to państwo nie wiedzą, nie znają? Alboście to nie widzieli? Nasza kamienica to jest takie francuskie cacko, taki angielski fabrykat, to tak by można tym ubrać największe miasta na świecie, nad reńską postawić rzeką, albo nad takiem wielkiem morzem, co to się „Meer" nazywa. Ho! ho! Aniby woda nie śmiała polizać proga. Aniby słońce bez mego „pozwoleństwa" nie zerknęło do okienek. Nie! Nasza kamienica ma drzwi, okna, sienie, schody, — wszystko najmodniejsze — a piękne, a wygodne, prawdziwy komfort! Gdzieindziej to niby też coś tam jest, ale gdzie im tam dorównać.

Moja babcia za życia mówiła tak: „Każdy człowiek ma swój honor, czy szewski, czy tapicerski, czy krawiecki, ale to wszystko są tylko ludzkie honory, a zaś pański honor się zaczyna od gruntu, czy miejski, czy wiejski — byle grunt, byle grunt!" Mój ojciec miał kamienicę, to jest miejski grunt. Więc był panem i miał swój kamieniczny honor. A ja też moi ludzie mam mój kamieniczny honor — i byle kpu nie pozwolę sobie w kaszę pluć (patrzy groźnie).

Bo też to teraz takie dziwne czasy nastały. Moja babka w grobie by się przewróciła, dobrze to, że jej się za wczasu zmarło (ociera oczy fartuchem) mój Boże! mój Boże! (zamyśla się). Bo choćby ten mój mąż (ze złością) ani o nim niema co mówić, nie warto tego wspominać — ale mnie taka złość zbiera, gdy sobie wspomnę, że aż mnie coś ściska na żołądku, muszę się wygadać, muszę, muszę! Aa (wzdycha) jeszczebym się rozchorowała.

Wyobraźcie wy sobie, państwo kochani, że ten, ten, ani wiem jak go nazwię, ten mój niestety mąż, ten powiada, że ludzie wszyscy, słyszycie? wszyscy na świecie są braćmi, że nie mam, aż mi trudno wymawiać, że ja nie mam nosa zadzierać z powodu tej naszej kamienicy bo, bo (płacząc) on straszne rzeczy mówi, bo jeszcze Pan Bóg skarze i piorun ją spali! Ale! (ze złością). Jeszczeby też? Taki dom, taki piękny dom? (po chwili).

Najgorsze to to, że ten łajdak, takich głupstw nauczył już Antosia, naszego syna i Maryśkę też. Powiadam do moich dzieci: „Co wy tam łazęgujecie ze zwyczajnemi dzieciarami, co wam do nich, ani mi się ważcie, jest pan Jan i panna Franciszka ze sąsiedniej ulicy, ich ojciec ma grunt ziemski, tu są na edukacyi w mieście, to z nimi możecie się zadawać, inaczej popamiętacie ruski miesiąc, niech no was jeszcze raz zdybię z innemi" — (z oburzeniem). I co myślicie drodzy państwo, że usłuchali? — Nie! — Maryśka całuje mnie w rękę i powiada: „Mamusiu, ta Basia taka miła, taka grzeczna, najlepiej się uczy i umie śliczne pobożne pieśni śpiewać, a ta panna Franciszka wcale z nami mówić nie chce, tylko po francusku i taka jakaś. „To się nie baw z nikim", powiadam — a mój Antoś poszedł zły, zawołałam go, tłomaczę mu, co to jest kamieniczny honor — a tu na nieszczęście mąż wchodzi i zaraz wygłasza oracyę „Antek tyś jest katolik i Polak, i dbaj o to, abyś miał honor uczciwego człowieka — marsz do książki".

Poszedł, ale mój małżonek jeszcze nie skończył na tem — przeciwnie, przeciwnie. — Siada na kanapie, mnie obok sadowi i nuże w czułości, w sentymenty. „Kotusiu" powiada „nie musisz dzieci uczyć takich rzeczy. — Powiedz im, żeby się bawiły z dobrymi, moralnie i po polsku wychowanymi — towarzyszami i koleżankami. Niech kochają swój dom, rodzinę, tę kamienicę, ale niech nie będą śmiesznie zarozumiałe na jakieś państwo, na co? po co? — Chciałam mu przerwać, wytłomaczyć, ale on znów „Kotusiu, ty je unieszczęśliwisz, wychowasz na niedołęgów i głupców" — (macha ręką). Et, znudziło mi się — powiedziałam mu dobrze! dobrze! i poszłam. — Co z takim zrobić? Nie zmieni się, a przecież bogaty jest, także gruntowy. Ho! ho! — Tylko to takie wyrodzone. — Jego siostra pani całą gębą, tylko on taki cudak (dzwoni kluczami).

Jak ja się to zagadałam, a mam przecież porządek do zrobienia, muszę pościel przewietrzyć i zobaczyć na górę, czy skrzynie odsunięte. No widzicie moi państwo, jak to się człowiek może zająć rozmową, a czas uleci. Otóż to! Otóż to! — Powiadali mi, że tu tyle zebrało się osób, że mam państwu co ciekawego opowiedzieć, a

ja ani nie zaczęłam jeszcze i już piąta godzina. Żegnam (chce odejść, lecz zawraca jeszcze).

Ale, ale — słóweczko. Mam jeszcze małą córeczkę. Kwartalne bobo Eufrozyncia dałam imię podług tej bogatej hrabianki z powieści amerykańskiej „Tajemnica zielonej firanki“ — otóż, codzień uczę ją, że ma mamusię, która jest panią, opowiadam jej o naszej kamienicy i o babuńci, która miała taki wielki honor. Myślę, że z tej córki będę miała pociechę. Żegnam państwa. Żegnam (odchodzi).

Zbigniew Topór.

GŁOSY CZYTELNICZEK.

N. b. p. J. Ch.

Szanowna Redakcya!

Przedewszystkiem pozwalam sobie złożyć Szan. Redakcyi moje najserdeczniejsze, najgłębsze podziękowanie za tak łaskawą i tak serdeczną odpowiedź w pogadankach, umieszczoną w „Gazecie dla Kobiet“ w numerze 14-tym.

Proszę mi wierzyć, że szczerze się jej ucieszyłam i że głęboko wzruszyła mnie dobroć i pobłażliwość Szan. Redakcyi; wdzięczną jestem niezmiernie za wszystkie rady i wskazówki, z których nieomieszkam korzystać. Każde zdanie po kilka razy przeczytałam, chcąc niejako każde słowo przetrawić sercem i umysłem. Rzeczywiście, że celem ostatecznym człowieka jest wieczność — niebo — a życie dopiero staje się środkiem do osięgnięcia tego celu; lecz przyjdą chwile, że człowiek zapomina się i wpada czasami w smutek i zwątpienie. Może mnie uniewinni to, że będąc przez przeszło 40 lat otoczoną liczną rodziną, zostałam teraz samiuteńka na świecie i choć zwalczam te uczucia smutku i w modlitwie znajduję ukojenie, przychodzą jeszcze chwile smutku i tęsknoty. —

Książeczkę o „Naśladowaniu Chrystusa“ kupiłam i jestem przekonana, że dużo z niej skorzystam; w młodszym wieku także ją czytałam, lecz wtenczas była mi ona trudna do zrozumienia; teraz, będąc starszą, treść tej książki więcej zrozumiem i ocenię. —

Cieszę się także, że moje zdanie co do korzyści należenia do towarzystwa, doznało uznania, nie był to czasem czczy frazes, lecz fakt, na który codziennie własnemi oczyma patrzę. Będąc dozorczynią i mając młode dziewczęta pod swoją opieką, widzę jasno różnicę pomiędzy temi, co należą do towarzystwa a temi, co nie należą. Gdy pierwsze są skromne, uprzejme, chętne do pracy, pilnie chodzą do kościoła i sakramentów św., to drugie odznaczają się wprost przeciwnemi przymiotami; wogóle robotnice należące do towarzystwa na pierwszy rzut oka poznać można. —

Wytłomaczenie słowa „stara panna“, — bardzo mnie ubawiło, lecz zarazem pocieszyło, bo wiem, że pod tym względem staropanieństwem nie grzeszę; ponieważ piesków ani kotków nie znoszę i oburzam się, widząc jak niektóre panie pieszczotami zwierzęta obsypują i całują je. Teraz proszę i odemnie przyjąć wyrazy uznania i wdzięczności za tak powiększoną i bogato w treść obfitującą „Gazetę dla Kobiet“, — z pewnością teraz wszystkie stowarzyszone z większem zainteresowaniem i z większą przyjemnością przeczytają gazetkę naszą od początku do końca i zatrzymają treść jej na długo w pamięci.

Kończę serdecznem życzeniem łask Bożych dla całego Związku. S. J.

Dobrze, że to pogadanka a nie artykuł, boć pogwarzyć z nas każda lubi. Jestem sobie Julia z nad granicy, ale taka, co dzisiaj tu, a jutro tam. 6 tygodni w domu teraz nie byłam, to też mile się zadziwiłam, widząc tak ładnie ubraną gazetkę — co to za rozmaitość! Radość niezmierną doznałam na widok znanych tak dobrze z Opiekuna dziatek głosek P. W. Witaj nam Pani na nowem polu zbożnej pracy. Boć, jest w ludzie siła niespożyta — zbawienie leży pod siermięgą, jak ta w popiele skra ukryta, mówi Kasprowicz, więc dzięki Ci Pani raz jeszcze, że pomagać chcesz, rozdmuchać tę skrę „aż łun zapłonie wstęgą“.

Może teraz zainteresują się i inne pióra naszą gazetką. A wtenczas da Bóg ubiorą ją w tak ładne artykuły,

Pogadanka.

A więc jednak odezwałaś się, kochana „stara panno“. — I do tego taki śliczny liścik napisałaś, że Szanowna Redakcya pozwoliła mi ledwie nos weń wściubić, i zaraz go odebrała; pewnie go nawet wydrukują. Jeżeli tak, to proszę wszystkie stowarzyszone, aby go uważnie przeczytały, szczególniej zaś zwróciły uwagę na ten ustęp, w którym mowa o różnicy między pracownicami, które należą do stowarzyszeń, a tymi które nie należą. Nie twierdzi nikt przecież, żeby już poza stowarzyszonemi zupełnie nie było dobrych, rozumnych i cnotliwych panienek, ale jednak autorka listu zrobiła to doświadczenie, że praca w stowarzyszeniach nie jest daremną, bo młode istotki, o ile mają dobrą wolę i chęci, kształcą się i wyrabiają wewnętrznie łatwiej, aniżeli inne, które pomocy organizacyi nie mają.

O życzeniu wyrażonem przy końcu listu w sprawie gier towarzyskich będzie Redakcya (jak mi mówiono) pamiętała — pomysł bardzo jest dobry.

A w końcu jeszcze jedno: jeżeli i teraz Kochana Siostro, wyda Ci się coś trudnem do zrozumienia w „Naśladowaniu“, proszę, napisz do mnie, a chętnie z Tobą na taki temat pogawędzę, choćby nie na łamach pisma, tylko prywatnie.

Czy inne stowarzyszone nie zainteresowały się tą książeczką i nie zabrały się do niej? Złota to książka, w każdej trudnej chwili życiowej można w niej poszukać i znaleźć radę odpowiednią — w smutku pocieszy, w troskach uspokoi, w słabości duszy pokrzepi. Ale, powiecie, my jesteśmy młode, wesołe, pełne ciekawości życia, szukamy rozrywki i przyjemności, więc cóż nam po takiej książce? Zajrzyjcie tylko, proszę, do niej, a przekonacie się, że i dla takich światowych, jak mówią, osóbek są tam rady dobre i stosowne. Może z niej właśnie nauczycie się zawczasu na życie patrzeć poważniej, nie tak, jak z okna wagonu kolejowego, szukając tylko ładnych widoków i wrażeń przyjemnych. Sny i marzenia różowe o przyszłości, to przywilej młodego wieku, i dobrze, że tak jest, bo inaczej młodość nie byłaby młodością. Trzeba jednak zawsze pamiątać o tem, że chwile ciężkie przyjdą i przyjść muszą, bo tylko w ogniu hartuje się żelazo. Dobrze naprzód się na nie przysposobić, aby nie zaskoczyły nieprzygotowanych i nie złamały przedwcześnie. Pamiętajcie zawsze i często powtarzajcie sobie, Siostry Kochane, tę prawdę, że

Przyszłość to trud,
Nie zejdzie ona z nieba
Przez żaden cud
Lecz zdobyć ją potrzeba.

A jak i czem zdobywać, ta książeczka Wam powie, i ja chętnie o tem z Wami pogawędzę, jeżeli zechcecie. A.

że każda Siostra będzie musiała pokochać swoją gazetkę. W niedzielę przy wydawaniu gazet już to większe zainteresowanie się było można u nas zauważyć. Nasz zarząd, to wiem z pewnością, ma wszystkie roczniki, ale myślę, że się sam na owo zapytanie „Pogadanki“ odezwie. Prawie by kończyć trzeba, ale jeszcze jedno. Miałyśmy obiecany przyjazd księdza kan. Grzędy, ale słyszymy, że ks. sekretarz generalny opuszcza Związek. Chyba następca ks. sekretarza będzie także pamiętał o nas!

Czy wolno częściej pogawędzić — pyta i prosi o wybaczenie, jeźli co źle napisane Julia.

Arcybiskupi komitet ratunkowy.

na którego czele stoi Najprzew. Ks. Arcybiskup Dr. Dalbor, przesłał nam obszerne sprawozdanie z działalności swej od założenia komitetu, t. j. od listopada 1916 r. do czerwca r. b.

Wiedząc, że Szan. Czytelniczki nasze zajmie sprawa tak ważna, tem bardziej, że tu chodzi o ratowanie ludności, przedewszystkiem dzieci naszych poznańskich, i że niejedno stow. Związku Kob. Prac. dorzuciło grosz swój do ogólnych składek, podajemy w streszczeniu najważniejsze dane.

Od lat szeregu istnieje już „Kuchnia dla ubogich“ przy ul. Wiedeńskiej 7. W listopadzie wyżej wymieniony Komitet założył jeszcze 4 dalsze i to w najbiedniejszych dzielnicach stolicy Wielkopolski, mianowicie: Dla Śródki i Chwaliszewa kuchnię nr. 2 przy ul. Filipińskiej 2. Najbiedniejszą ludność w Główniе zaopatruje kuchnia nr. 3 przy ul. Granicznej 4. Dla Jeżyc założono kuchnię nr. 4 przy ulicy Kościelnej 6; wreszcie mieszkańcy Wildy i dolna część miasta ma kuchnię nr. 5 przy ulicy Następcy Tronu 41.

Sprawozdanie podaje, że do dnia dzisiejszego już przeszło **pół miliona porcyi** wydały te kuchnie najbiedniejszym rodakom i dzieciom naszym.

Od chwili założenia Komitetu Ratunkowego złożyli różni dobrodzieje, przeważnie ze wsi, ale też i z miast, datki następujące:

379 ctr. marchwi — 2640,40 ctr. ziemniaków — 44,50 ctr. kaszy — 544 ctr. brukwi — 621,60 ctr. kapusty — 134,20 ctr. warzywa, 11,50 ctr. grochu — 635 ctr. buraków — 50 funtów cebuli — 155 funtów owocu, jęczmienia, twarogu i t. p. — 1 chleb — 18 funtów masła — 55 mięsa, 65 zajęcy, 90 funt. sztokfiszu, 26 worków płatków ziemniaczanych — 210 kloft drzewa — 1000 ctr. węgli — 9 warchlaków i 2 tuczniki.

W gotówce zbrano 55307,20 mk. w r. 1916 i 13404,20 mk. w r. b. Do tego dochodzą odsetki 586,10 mk. tak, że razem zebrano od założenia do czerwca
69 297,50 mk.

Komitet dziękując za dotychczasową ofiarność, udaje się z usilną prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli o dalszą pomoc, by nie był zmuszony zamknąć kuchni.

Szan. Czytelniczki nasze upraszamy gorąco, aby także pamiętały o głodnych dzieciach naszych i choćby najmniejszy datek składały na ten cel tak szlachetny.

Sprawy Związku i Stowarzyszeń.

Z ruchu Stowarzyszeń.

Tow. Panien Katolickich w Rynarzewie.

Ku uczczeniu 10-cio lecia istnienia Towarzystwa Panien Katolickich odbyło się w Rynarzewie, dnia 23 lipca 1917 roku zebranie jubileuszowe. Po zagajeniu zebrania przez ks. patrona Buławskiego i odśpiewaniu pieśni „Kto się w opiekę“, przeczytał ks. patron porządek obrad i powitał gości, a przedewszystkiem ks. kan. Grzędę z Poznania, który raczył przybyć na nasze zebranie, nie szczędząc trudu i dalekiej podróży. Następnie przemówił ks. patron, przedstawiając pracę Towarzystwa dziesięcioletnią, choć cichą, lecz ciągłą; to też praca ta wydała swój plon: te panny, które w towarzystwie sumiennie pracowały, odnalazły w sobie i wzmocniły ducha obywatelskiego i cnoty społeczne, tak że śmiało twierdzić można, korzystnie odróżniają się od tych, które nie odczuwają potrzeby łączenia się z równymi sobie. Następnie przeczytała sekretarka protokół z ostatniego zebrania; potem dała pogląd na 10-cio letnią pracę Towarzystwa przewodnicząca, a sekretarka przeczytała sprawozdanie z 10-cio lecia; skarbniczka zaś stwierdziła stan kasy, bibliotekarka zdała sprawę z biblioteki; rewizorka kasy oświadczyła, iż kasa znajduje się w wzorowym porządku.

Następnie składały życzenia delegatka Towarzystwa matek, i delegat Towarzystwa młodzieńców, a ks. patron przeczytał życzenia, które nadesłał ks. Spychałowicz założyciel Towarzystwa Panien. Potem zabrał głos ks. kan. Grzęda, objaśniając znaczenie przynależenia do Związku, i korzyści z tego powstające; mówca wyraził radość, iż tutaj, na kresach, istnieje Towarzystwo, które święci jubileusz dziesięcioletni. Po tej przemowie, którą zebrane wysłuchały w skupieniu, uchwaliło Towarzystwo jednomyślnie przyłączyć się do Związku.

Następnie przystąpiono do sprawy odłączenia kasy posagowej od kasy Towarzystwa i po dłuższej dyskusyi załatwiono tę sprawę pomyślnie. Kasa posagowa ma być oparta na repartycyi. Wstępne ma wynosić 1,50 mk., o wysokości każdorazowych opłat i wypłat, ma stanowić roczne walne zebranie. Z kasy korzystać może członek dopiero po dwóch latach przynależenia. Która 10 lat należała, ma być od dalszych składek zwolniona.

Zgłosiły się trzy nowe kandydatki, chcące należeć do Towarzystwa: p. Zofia Kluczówna, p. Władysława Błażejewska i p. Maryanna Wyrzykowska. Uchwalono urządzenie wycieczki na przyszłą niedzielę do pobliskiego lasku. Piękne deklamacye wygłosiły p. Woźniakówna „Nad zranioną“, p. Kazubowska „Dla Polski“, „Dokoła kłosy wyrosły“, p. Kurkówna. Ks. patron rozdał pomiędzy obecne karty z narodowemi pieśniami, które też zaraz odśpiewano. Urządzona na zebraniu składka na bezdomnych przyniosła 34,15 mk.

Ks. patron wzniósł jeszcze na cześć dostojnego gościa ks. kan. Grzędy okrzyk: po trzy razy „Niech żyje“. Tak samo uczyniono na cześć ks. patrona, za wszystkie prace i trudy, położone dla dobra Towarzystwa.

Następnie odśpiewano jedną zwrotkę: Wszystkie nasze dzienne sprawy“ i ks. patron posiedzenie zamknął.

Sekretarka.

Stowarzyszenie kobiet pracujących „Jedność“ w Inowrocławiu.

Zebranie zwyczajne Towarzystwa kobiet pracujących „Jedność“ odbyło się dnia 22 lipca o godz. 5-ej na sali w ochronce; zagaił ks. wicepatron. Wpierw wspomniał ks. wicepatron o wycieczce, którą dla niepogody odłożono na później. Po przeczytaniu porządku dziennego, i protokółu z ostatniego zebrania, który został bez zmiany przyjęty, oznajmia ks. wicepatron starszym, żeby dokładnie podały datę urodzenia członków zgłaszających się do Towarzystwa, bo bez tego nie będą przyjęte; również kandydatki po nad lat 60 do Towarzystwa przyjmować nie będą. Po komunikatach zarządu wypowiedział ks. wicepatron wykład: „O gusłach i zabobonach“. W pięknym wykładzie wyjaśnił nam mówca, jak bardzo wierzą w gusła i zabobony jeszcze po dziś dzień. Wpierw boją się ludzie, że przychodzi umarły i różne

daje znaki, a to są ludzkie tylko wymysły. Umarły skoro oczy zamknie na wieki, już żadnego znaku nie daje, śpi spokojnie i „kusić“ na ten świat nie przychodzi, jak ludzie mówią. Dalej ostrzegał ks. wicepatron stowarzyszone, by nie chodziły do karciarek, bo to jest przedewszystkiem grzech ciężki, z którego muszą się spowiadać, a potem idąc do karciarki słuchają kłamstw, bo żadna karciarka o przyszłości nic wiedzieć nie może, jedynie sam Bóg zna przyszłość człowieka. Przewodnicząca w imieniu słuchaczek podziękowała ks. prelegentowi za tak piękny i pouczający wykład. Kilka stowarzyszonych zadeklamowało piękne wiersze. Odśpiewaniem kilku piosenek zakończono zebranie. Sekretarka.

Stowarzyszenie Kobiet Pracujących w Tucznie.

Dnia 15 lipca odbyło się zwyczajne miesięczne zebranie tow. kob. prac. w Tucznie. Po zagajeniu posiedzenia zdała przewodnicząca sprawozdanie z zjazdu delegatek „Związku“ w Poznaniu, zachęcała do regularniejszego odbierania gazetek i pilniejszego ich czytania, oraz otworzyła dyskusyę nad mającym się odbyć obchodem Kościuszkowskim. Stowarzyszone zabierały głos w dyskusyi, ułożono program obchodu i zadecydowano sprawienie sztandaru. Następnie ks. patron wygłosił odczyt na temat: życie i działalność Ks. Piotra Skargi. Po skończonym wykładzie zadeklamowały 3 stowarzyszone z przejęciem i ze zrozumieniem, a na zakończenie odśpiewano razem pieśń: „Z dymem pożarów“.

Zastępczyni sekretarki.

ZAGADKI.

Zagadka historyczna.

Jako lilii kwiat, o cudnej woni
Wyrosło dziewczę królewskiego rodu;
Młoda, a berło już w jej drobnej dłoni
I już w jej ręku są losy narodu.
Kocha, och kocha, Ignie sercem gorącem
Do rycerzyka, co młody, jak ona,
Od dni najmłodszych był jej życia słońcem
I dłoń jej była mu przyrzeczona.
Lecz oto losy zrządziły inaczej
I młodej pary zgmatwały się sprawy,
Choć serce pęka królowej z rozpaczy
Wie, jak stać winna u swych przodków nawy.
Przyjechał książę z dalekiej krainy,
Obcy obrządkiem, mową i zwyczajem,
Lecz obiecuje wielkie, zbożne czyny,
Chce lud swój, ziemię złączyć z polskim krajem.
Chce przyjąć Wiarę świętą, Chrystusową,
Wzmocnić granice, pobić ludy wraże,
Byle królowa rzekła chętne słowo,
On każe Bogu budować ołtarze.
Och, jakiejż wielkiej żądają ofiary...
Królowa-lilia słania się i chwieje,
Miłość dla Boga, cześć dla świętej Wiary,
Każe jej żegnać najsłodsze nadzieje...
Zrzeka się szczęścia, oddaje dłoń białą,
Książęciu, który do progów kościoła
Wiedzie poganów, aby z wielką chwałą
Przed jednym Bogiem pochylili czoła...
Już dokonane wielkie dzieło bratnie
I już królowa nie myśli o sobie,
Znane jej biedne chatynki ostatnie,
Wszyscy co cierpią i płaczą w żałobie.
I łzy ociera i wspomaga nędzę,
Podnosi w kraju wspaniałą uczelnię,
Przecudnych robót snuje cienką przędzę,
Żyje cnotliwie, bogobojnie, dzielnie.
Gdy życie dając maleńkiej istocie
Wraz z nią i sama odeszła do Boga,
To ludu za nią zapłakało krocie,
Bo taka była wszystkim sercom droga.
Kto ona, powiedz, o polska dziewojo,
Mów wszystko, wszystko, co wiesz tylko o niej
I niech jej cnoty za przykład ci stoją,
Bo chrześciajńskiej i cudnej są woni!

P. W.

Zagadka.

1 . . . . . Inne określenie zgromadzenia religijnego
2 . . . . . Inaczej wjazd
3 . . . . . Imię żeńskie zdrobniałe
4 . . . . . Święty Polski
5 . . . . . Rodzaj ziemi
6 . . . . . Ptaki
7 . . . . . Służy do korespondencyi
8 . . . . . Mieszkaniec Ukrainy
9 . . . . . Jedna z ballad Mickiewicza
10 . . . . . Mają pewne rośliny.

Środkowe litery czytane od góry do dołu tworzą nazwisko wodza, którego 100-ną rocznicę śmierci obchodzimy w tym roku.

Składki.

34,15 mk. (trzydzieści cztery marki i 15 fen.), nadesłało do biura Związku Tow. Panien Katol. w Rynarzewie na Bezdomnych.

Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Przepis na mydło. W 10 litrów wody zamoczyć na noc 3 funty kamienia mydlanego, do tego płynu dodać na drugi dzień 6 f. tłustej padliny lub 3 f. tłuszczu i 3—4 f. jakichkolwiek wygotowanych przedtem kości. Gotować 3 godziny mięszając od czasu do czasu, potem dodać ½ f. sody lub innego proszku do prania, łyżkę żywicy, a na samym końcu garść soli, która wpływa na to, by się mydło dobrze złączyło. Wlać w płaskie naczynie, lub n. p. w szufladkę od stolika wyłożoną papierem. Na drugi dzień wyjąć mydło z formy i pokrajać w kawałki, które pozostawić w suchem miejscu dla lepszego wysuszenia. W.

✝

Dnia 22-go lipca 1917 zakończyła żywot doczesny, opatrzona św. Sakramentami, ś. p.

Józefa Radzisz,

członkini Towarz. Kobiet Pracujących w Tucznie.

Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie!

Czcionkami i drukiem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha G. m. b. H. w Poznaniu.